№ 51.

Warszawa, dnia 19 Grudnia. 1863 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

ELEKCJA

JANA SOBIESKIEGO.

Dalszy ciąg.

Gdy tak na polu pod Wolą szerzył się zapał i okrzyk na korzyść Sobieskiego, a Pacowie razem z Wiśniowieckiemi z największą zabiegłością gromadzili chwiejących się przyjaciół, stawiając połączone imiona księcia Lotaryngji i Eleonory, nadszedł wieczór i wybiła godzina dziewiąta. Że jednak dosyć jeszcze było widno, bo prawo wzbraniało przy sztucznem świetle prowadzić sejmowe narady, województwa polskie, domagały się, aby biskup krakowski zbierał głosy, i wypadek z nich natychmiast ogłosił. Pośpiech ten, jakkolwiek z najszlachetniejszych wychodzący pobudek, był już niejako podejściem prawa, powstał więc sam Sobieski i rzekł:

— „Sprzeciwiam się temu domaganiu, jako przeciwnemu prawu. Pamiętajcie, jakiemu narodowi macie dać króla, najwolniejszemu na całéj ziemi, a pośpiech podobny nie zgadza się z wolnością. Niech Bóg mnie zachowa, abym przyjąć miał koronę, gdyby szło o nadwerężenie swobod politycznych, gdyby choć jeden głos był wymuszony lub przytłumiony. Tysiąc razy wolę być podległy przez całe moje życie, niżeli rozkazywać jednemu ze współziomków, wbrew jego życzeniom. Nie byłoby godném mnie dostąpić tronu, niejako jakby ukradkiem i przy nadchodzącéj nocy, kiedy nikt nie będzie miał czasu zastanowienia się nad tak nagłym wnioskiem. Żądam, żeby rzecz tę odłożono i oświadczam, że gdyby nikt zgoła nie wystąpił jeszcze z oporem, ja pierwszy położę swoje veto."

Pomimo sprzeciwiań się i ogólnéj krzykliwéj wrzawy, odrzucającéj protestacją Sobieskiego, zebranie głosów do dnia następnego odłożone zostało. Szlachta z gwarem zaczęła się rozchodzić, gdy wtém podniosły się kłęby kurzawy, jakby od wielu jeźdźców pochodzące i skierowały się z pola elekcji na drogę ku Warszawie. Byli to Pacowie korzystający ze zgiełku, i razem z orszakiem i swemi stronnikami umykający ku stolicy. Szlachta obruszyła się ogromnie na taki braci litewskiéj postę-

pek, który coś jakby na groźbę zakrawał. Kiedy Jabłonowski zobaczył to, smutnie zwiesił głowę i rzekł:

— „Biedna Rzeczpospolita nasza, przez prywatę starszych jéj synów upadła tak nisko, że nagroda cnoty, męztwa i zasług wywołuje w zawistnych bunty i konfederacje. Mości hetmanie, bodajem był fałszywym prorokiem, ale w tém odjeździe Paców widzę ręce i silne przymierze księcia Lotaryngji i królowéj. Jeżeli zawiążą konfederację na przeciw życzeniu prawie całego narodu, nie zapomnijcie mości hetmanie, że macie pod swemi rozkazami dzielne hufce, co stokroć hardziejsze głowy gięły do stóp waszych z pokorą i uniżeniem."

— „Ale tureckie, tatarskie i kozackie, mości wojewodo, odrzekł Sobieski, a nie polskiéj szlachty, któréj nic pono w hardości nie uniży, tylko twarda szkoła doswiadczenia, jaką nam Bóg w zagniewaniu może w niedalekiéj przyszłości gotuję. Co do hufców moich temi dowodzę dla obrony granic Rzeczypospolitéj, a nie dla swego wyniesienia, i prędzéj na resztę żywota ukryje się w jakim zaścianku szlacheckim niż dobędę miecza przeciw własnym braciom choć przeciwnikom."

Tymczasem wieść z pola elekcji, szybko rozniosła wiadomość w Warszawie, o przechyleniu się głosów na stronę Sobieskiego. Wesołe okrzyki ludu wznosiły się po wszystkich ulicach miasta, zwiastując spełnienie tego, czego każdy pragnął i wyglądał niecierpliwie. Królowa Eleonora zalała sie łzami, opuszczona od najżarliwszych nawet przyjaciół, którzy widząc nowo wschodzące słońce, spieszyli na pokoje Marji Kazimiery, aby w tłumie dworaków i magnatów z żonami, złożyé życzenia téj, co ma Polsce królować. Poseł francuzki w wyborze Sobieskiego dopatrując tryumf Francji nad zabiegami domu wiedeńskiego, bo znaną była wszystkim przychylność hetmana dla rodziny królewskiéj Ludwika, w uniesieniu radości, pierwszy powitał Sobieską tytułem jéj królewskiéj mości; o czém gdy się dowiedziała Eleonora, łzom żadnéj folgi nie stawiła, czując że już nie ma ani królestwa, ani spodziewanego z takiém upragnieniem małżonka. Sobieskiego jednak przy pierwszém spotkaniu z żoną, gorzkie spotkały wyrzuki, że przez niewczesne oświadczenia wygórowanéj szlachetności, samowolnie zachwiał los swój i swoich dzieci. Pisarz bezstronny świadomy dobrze ówczesnych wypadków, powiada, że przeciw tym wymówkom, Sobieski stawił chęć nieprzyjmowania korony, przeczuwając wszystkie piołuny i goryczе, jakiemi z jéj powodu, miał zatruć resztę swego żywota, i że Marja musiała użyć całéj swéj czarodziejskiéj nad nim potęgi, aby go skłonić do przyjęcia tak świetnego uwitego z głogu i cierni ciężaru.

Obawy jednak Marji, pożądającéj z chciwością takiego wyniesienia, nie były płonnemi. Stronnicy domu austrjackiego nie stracili nadziei przeprowadzenia księcia Lotaryngji, grozili nawet poparciem go orężem, choćby kraj przyszło cały pogrążyć w odmęcie wojny domowéj. W tym celu Pacowie usadowili się z ludem orężnym na przedmieściu Pradze, a jeden z nich udał się jeszcze tego wieczora do senatu, i w księdze zaniósł protestację w imieniu całéj Litwy, oświadczając, iż elekcja tylko w takim razie będzie prawną, jeżeli będzie jednogłośną i nie przeciwną instrukcjom sejmików litewskich. Wiadomość ta potrwożyła wszystkich nawet najśmielszych. Obojętni i lękliwi zaczęli się wahać, a dygnitarze zaprzedani Austrji, uznali się w obowiązku, utrzymywać aż do ostatka kandydata tego dworu. Ci zaś, których miękkie serca poruszyły łzy opuszczonéj królowéj, lub których obrażało wywyższenie Sobieskiego, równego im dotąd szlachcica, inni nareszcie, których żony z gniewem patrzyły, że córka francuzkiego szlachcica, stanie na tak wysokim stopniu, jaki dotychczas tylko królewskie zajmowały córy, otóż ci wszyscy niechętni z tak rozmaitych powodów oświadczyli się za protestacją Paców, i niezmiernie partję ich wzmocnili. Cała więc noc upływała na groźnych i wielorakich zabiegach, strasząc burzą wojny domowéj niższą część narodu, która była rzeczywistym reprezentantem woli i potrzeb całego kraju.

Nie poprzestając na protestacji, nieprzyjaźni panowie wielkiemu hetmanowi zaczęli o nim rozpuszczać różne krzywdzące wieści i potwarze. Zarzucono mu zaprzedanie Turkom Kamieńca, że oskarżenie Łodzińskiego nie było należycie wyjaśnione; że płatny od księcia Neuburgskiego i Kondeusza za popieranie ich sprawy, złotem ich torował dla siebie drogę do tronu. Dodawano nadto, że mniemana jego skromność w odrzucaniu korony jest tylko hypokryzją; zwlekanie przybycia na elekcją, środkiem do swietnego wystąpienia, wniosek zaś za Kondeuszem, intrygą dla zasiania niezgody i z niéj korzystania. Nie zawsze, powiadano, trzeba mówić o samych wygranych bitwach, ale i o działaniach skrytych, szkodę Rzeczypospolitéj przynoszących. Czcigodny prymas Florjan książę Czartoryjski umarł nagłą śmiercią, uległ także pod ciężarem tajemniczéj choroby król Michał, w sam dzień bitwy pod Chocimem, obadwa byli jedynemi przeszkodami do chwycenia korony przez Sobieskiego, a choć mogą być w tém cuda, ale dziwna rzecz, że Bóg nie uczynił ich na korzyść księ-

cia Lotaryngji. Jeżeli Sobieski osiądzie na tronie polskim, powtórzą się czasy Jana Kazimierza, kiedy Marja Ludwika Gonzaga rządziła królem, i Rzeczpospolitą, dla ich zobopólnego nieszczęścia. Znaną jest wszystkim pokorna i posłuszna miłość Sobieskiego dla swéj żony, któréj mimo tego nie brakuje ani płochości ani niewierności. Wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski, udał się cały na usługę Sobieskich, ale nie wiadomo, od którego z dwojga małżonków odbierze nagrodę za swe poświęcenie.

Takie krzywdzące potwarze, szczodremi rozsiewane ustami, krążyły w namiotach na polu elekcyjnym i w Warszawie, a jeżeli pomiędzy szlachtą i wojskiem obudzały gniew i oburzenie, chętnie powtarzane były przez możniejszych, przeczuwających wyniesieniem Sobieskiego zniszczenie swych samolubnych nadziei. To też całe miasto, przedmieścia i okolice huczały noc całą turkotem krzyżujących się powozów, otoczonych światłem pochodni i zbrojnemi tłumami szlachty i rot cudzoziemskich. W ciasnych ulicach i na drogach przychodziło nieraz do wydobycia oręża, hamowanego zaledwie, głosami przejeżdżających panów, ale z pomiędzy wszystkich najczynniejszą była Eugenja de Mailli, żona Paca, kanclerza wielkiego litewskiego, rodem Francuzka, która powodowana zazdrością ku Marji Kazimierze jako spółrodaczce, utrzymywała z wielką czynnością sprawę Paców, to jest księcia Lotaryngji i królowéj Eleonory.

Ale i Sobieska równie była czynna, poznała, że trzeba także rozwinąć całą zręczność zabiegów, aby pokonać przeciwników, bo choć ufała licznym głosom poczciwéj części narodu, znała także dobrze potęgę intryg i zepsucia towarzystwa, do którego stanowiskiem swém należała. Szło tu bowiem o koronę, która raz dostawszy się do ich domu, mogła w nim utrwalić się na długo, jak to było z rodem Piastów i Jagiellonów. Rzecz więc nie była małéj wagi, i ta to nadzieja, przy każdéj elekcji wydobywała z ukrycia tłumy kandydatów marzących o utworzeniu nowéj linji królewskiéj, wbrew instytucji narodowych i złożonéj przysiędze. Z tego to powodu obadwa Sasowie wichrząc cały naród, wepchnęli go w przepaść, nad którą stał wprawdzie, ale mógł się od niéj nawrócić i wejść w szerokie pole sławy i pomyślności, gdyby nie zepsucie i zgnilizna góry, pragnąca zdeptaniem całego narodu razem z tronem silnie nad nim zapanować. Ztąd powstał opór, zawichrzenie i walka; miejsce wewnętrznego rozwoju, który daje siłę na zewnątrz, zastąpiła wzajemna nienawiść co naród rozdwaja, osłabia i poniża; wprawdzie, przypomniano sobie z czasem o najliczniejszéj i najbardziéj pognębionéj massie narodu, ale już było za późno. Rozdział za nadto długi i wielki jednym sejmem nie dał się usunąć. Co wieki popsuły, tylko lata mogły naprawić.

Znając więc Marja Kazimiera chciwość magnatów, a pragnąc ich ująć, jeżdżąc noc całą, hojnie szafowała obietnicami kapeluszy kardynalskich, buław, województw, starostw i innych podobnych godności. Książę Michał Radziwiłł podkanclerzy litewski a szwagier Sobieskiego, Sapiehowie, Jabłonowski, Fredro, i inni powszechnie poważani panowie wspierali bardzo czynnie zabiegi Marji, dowodząc, że byłoby występkiem nawet, ustąpienie namiętnościom kilku ludzi, i poświęcenie dla nich pokoju, pomyślności, chwały wszystkich, usunięciem od steru Rzeczypospolitéj ziomka, wodza, męża stanu, którego wszystkie narody pragnęłyby mieć swoim królem i przewodnikiem.

— „Prawda, prawda, zaczęły się odzywać głosy między Litwą wierną dotąd Pacom, w naszych stronach, nie ma takiéj chaty ani pałacu, gdzieby imię Sobieskiego nie było błogosławione. Pod jego przewództwem obozy nasze zdobywały tryumfy zdobędzie więc je i Rzeczpospolita, mając na troni e takiego króla.“

Tak gwarzac szlachetni Litwini całemi województwami opuszczali Paców, idąc pod ster Michała Radziwiła. Za niemi wysuwali się najwięksi nawet nieprzyjaciele Sobieskiego, i stawali po jego stronie, tak dalece, że gdy na drugi dzień słońce weszło nad polem elekcyjném, znalazło wszystkich ożywionych jedną radością, i nadzieją przy lampkach węgrzyna gwarzących o bohaterskich czynach Jana Sobieskiego. Na prawym jednak brzegu Wisły, pomiędzy stronnikami Paców, panowało głuche i ponure milczenie. Czuli, że sprawa przez nich popierana, nie jest sprawą narodu, ale osobistych zawiści i niechęci; przez wstyd jednak trzymano się Austrji i wmawiano w siebie korzyści mające spłynąć na kraj z tego związku. Kiedy więc o godzinie drugiéj po południu d. 20 maja 1614 roku, biskup krakowski przybył na pole elekcyjne, pomimo tego, że Pacowie przybyli także i zanieśli protestacją przeciw temu, co się wczoraj stało, zgromadzeni zażądali ogłoszenia Jana Sobieskiego królem polskim. Biskup Trzebicki wsparty radą Sobieskiego, odmówił tego pogwałcenia praw, sejmu jednak nie ogłosił za zerwany, lecz wysłał najznakomitszych mężów stanu do Paców, wzywając ich w imieniu ojczyzny, zagrożonéj najazdem Szwecji, Brandeburga, Austrji, Turcji i innych, ażeby nie narażali jéj na wojnę domową, i nie podawali sposobności czyhającym nieprzyjaciołom, do wejścia w sam środek Rzeczypospolitéj.

Głos szczeréj miłości ojczyzny, zmiękczył twarde dotąd serca Paców, otoczeni szczupłą liczbą stronników przybyli na pola elekcji, i Mikołaj Pac oświadczył, że jeżeli dla uczczenia dnia świątecznego obrady zostaną odłożone do dnia następnego, on cofnie sweje veto i powita nowego króla.

— „Nie! nie! zawołano do koła, żadnéj zwłoki! Sobieski albo śmierć! Niech żyje Sobieski, nasz król Jan trzeci!"

Ale Sobieski znowu wystąpił i oświadczył, że nie przyjmie korony, jeżeli wybór nie nastąpi prawnie, a tém samém jednomyślnie. Biskup więc krakowski odwołał sesją, a na znak powszechnéj radości, rozległy się tysiączne wystrzały z pistoletów, arkabuzów i rusznic, zagorzały ognie ochotne, latarnie, lampy i rozliczne illuminacje, Marja zaś Kazimiera z nowemi wymówkami przyjęła małżonka, nie mogąc pojąć skrupułów w przedłużaniu z dnia na dzień, ogłoszenia jego wyboru.

Na drugi dzień d. 21 maja, Litwa pod przewodnictwem swego wielkiego kanclerza, przybyła na pole elekcji, i przyjętą została radosnemi okrzykami zebranéj korony. Tak więc nie brakowało nikogo, najzawziętsi nieprzyjaciele i wichrzyciele, przed dwoma dniami srożący się zemstą i krwi rozlewem, stali teraz w zgodzie i pokoju obok siebie, aby w polu pod gołém niebem okrzyknąć królem bohatera, co niepożytą nigdy sławą okrył siebie i cały naród. Choć więc wiadomo wszystkim było, kogo wybór spotka, dla formy jednak, senatorowie poszli zbierać głosy od każdego województwa. Po zapisaniu i policzeniu, wszystkie bez wyjątku dane były za Janem, biskup więc krakowski Trzebicki wsiadł na konia, i objeżdżając obóz, pytał po trzykroć, czy nie ma kto przeciw czynności całéj jakiego zarzutu? Żaden głos przeciwny nie dał się słyszeć, wówczas biskup zastępując miejsce zmarłego prymasa, zatrzymał się przed szopą, i odezwał się donosnym głosem:

— „Ja biskup krakowski, z mocy służącego mi prawa zastępujący zmarłego prymasa królewstwa, ogłaszam ci narodzie polski, że za wolą Bożą, wolnemi głosami obywateli wszystkich ziem Rzeczypospolitéj, na tron szacowny Piastów i Jagiellonów wzniesiony został Jan Sobieski, piastujący dotąd urząd hetmana wielkiego koronnego. Wznieś więc narodzie myśl do Wszechmocnego Boga, dawcy wszystkiego dobra, o szczęśliwe i długie panowanie nowo obranego monarchy, i powtórz radośny okrzyk, niech żyje Jan trzeci król polski!"

Naraz jeden cisza zmieniła się w długi przeciągły okrzyk całego elekcyjnego pola; okrzyk ten podobny do grzmotu pioruna, z szumem rozszedł się daleko, odbijając echo od przyległych lasów; chorągwie wojsk Rzeczypospolitéj i pułków cudzoziemskiego autoramentu, pochyliły się z uszanowaniem przed imieniem głoszoném przez naród, zabrzmiała muzyka wojskowa, ozwały się wystrzały z dział, a w Warszawie na znak wspólnéj radości, uderzono w dzwony wszystkich kościołów. Wtém na znak dany przez biskupa Trzebickiego, przycichł gwar tysiącznego tłumu, i w pośród ciszy dał się słyszeć hymn dziękczynny całego duchowieństwa, wtorowany zgodnemi głosami całego obecnego ludu. Za kapłanami pokazał się Sobieski otoczony licznem gronem senatorów i posłów, a za niemi wysunął się nieprzeliczony tłum szlachty i ludu, i cała ta długa procesja wszedłszy na drogę, wsunęła się w uroczystym pochodzie w mury stolicy, aby w kościele katedralnym S-go Jana złożyć dzięki Panu, za szczęśliwie do skutku doprowadzoną elekcją. W świątyni już znajdowała się Marja Kazimiera z synem Jakóbem, obrzęd odbył się wśród najżywszego wzruszenia, łzy radości mieszały się z czułą modlitwą i prośbą o błogosławieństwo, bo rokowano sobie przyszłość najpomyślniejszą i spodziewano się, że czém był Jan dla Polski. tém kraj stanie się względem chrześcjaństwa.

Dla potwierdzenia tych błogich nadziei, które spełniłyby się bez zaprzeczenia, gdyby Marja Kazimiera była urodzeniem i sercem Polką, a magnatowie mniéj zepsuci, uważano z radością, że elekcja odbywała się w dniu tryumfu Chocimskiego, w sobotę, niedzielę i poniedziałek, i trwała tyleż także dni co to świetne zwycięztwo.

Po skończoném nabożeństwie król Jan udał się na zamek aby po raz ostatni uchylić kolano przed Eleonorą, i złożyć jéj hołd poszanowania, jako poddany swojéj królowéj. Eleonora przyjęła go niezmiernie zimno, ledwo, że nie z wymówkami, ale wychowana w szkole fałszu i największéj obłudy, podziśdzień tak charakteryzującéj dwór wiedeński, przytłumiła swą tajemną wściekłość i z kłamanym uśmiechem przyjęła bohatera. Sobieski w odwiedzinach tych ceremonialnych rozwinął całą uprzejmość i delikatność człowieka wysoko ukształconego, a chcąc smutek królowéj cokolwiek wynagrodzić, obiecał jéj wypłatę coroczną znacznéj sumy Nazajutrz Eleonora oddaliła się na Bielany, aby w okolicy klasztoru Kamedułów w cieniu dębowego lasu, knuć nowe intrygi przeciw wybrańcowi narodu, który na szali dyplomatycznéj wzmacniał znaczenie kraju.

W długiéj bowiem walce i wiecznéj nienawiści pomiędzy Francją a cesarstwem niemieckiém, Polska w związku z jedną stroną, lub nawet neutralna, mogła wiele wpływać na rozstrzygnięcie niepe-

wnych losów! W groźnym zaś wylewie pogańskiéj dziczy już od dwóchset lat dążącym ciągle na wdarcie się w sam środek Europy, jedni tylko Polacy pod wodzem takim, jakim był Sobieski, mogli skutecznie bronić niepodległości, wiary, praw i cywilizacji zachodu. Porta zrozumiała, pomimo swéj hardości, jaka przeszkoda ma teraz stanąć dalszym jéj zdobyczom, a widząc radość całéj Europy z wyniesienia Sobieskiego, uczuła, że Polski nie złamie, i bardziéj przystoi jéj szukać z nią zgody jak boju.

Tak więc jutrzenka świetnéj przyszłości, zawitała w progach Rzeczypospolitéj, ale porzucanie w górze obyczaju starego popsuło wszystko. Wady przynoszone chciwie z zachodu, popsuły wszystko, i Sobieski tylko znikomym pobłyskiem sławy, przyozdobił naród.

(d. n)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Paryż w téj chwili zarzucony jest obrazkami. Nowy rok zwykle tumany ich sprowadza i rozdmuchuje po wszystkich bibljotekach, salonach, buduarach, kontuarach i mansardach. Wielkie damy i ubogie dziewczątka, starzy i młodzi, możni i biédni, mają dla siebie przysposobione w tym czasie jakieś malatury i malaturki, przemawiające do duszy wymowniéj niż książka; text, tylko jako zamówka do rysunku, mieści się skromnie w zakątkach tych malowanych kartek, sposzytych razem tylko dlatego, żeby się nie rozleciały.

Wśród nieprzeliczonéj massy dzieł illustrowanych pojawiło się kilka wielkiéj wartości. Pomiędzy temi na pierwszém miejscu postawić należy nową, a nieskończenie wzbogaconą i upiększoną edycję *Naśladowania Chrystusa*. Wydanie to wykonane z nadzwyczajnym kosztem i smakiem, liczy się do pomników sztuki drukarskiéj, litochromicznéj, czyli odbicia kolorami na kamieniu, i sztycharskiéj. Pięćset kilkadziesiąt stronnic, z których ten tom jest złożony, zdobne są arabeskami, literami i winietami, wyjętemi z najwspanialszych rękopismów średniowiecznych, jakie przechowano nie tylko w kościołach i klasztorach, ale po meczetach i świątyniach Wschodu. Tak wydane *Naśladowanie* równie pod względem treści i splendoru nie ma podobnéj sobie książki na świecie.

Po tym tęczowo-złotym relikwiarzu idzie zbiór sztychów, zdjętych z najpiękniejszych obrazów i wydany p. n. *Les trésors de l'art* przez pana Armengaud, znanego edytora *Historji Malarzy* i *Galerji Europejskich*. Wielka ta księga in folio składa się z czterdziestu ośmiu kopji arcydzieł, znajdujących się w najsłynniejszych muzeach W. Brytanji.

Rozpoczyna kollekcję obrazek Uwinsa, wysoko cenionego w Anglji malarza, przedstawiający prześliczną dziewczynkę, prawdziwy typ arystokratycznéj piękności w pączku, zwanéj w języku artystów *Łabędziem Albjonu*. Złotowłosa figlarka zakradła się do malarskiéj garderoby i z ubiorów, jakie znalazła, złożyła sobie strój oryginalny, dziwnie przypadający do malinowéj twarzyczki: śliczną główkę nakryła kapeluszem włoskiego bandyty z szerokiem rondem, pawiém piórem i świętym obrazkiem; na szyję włożyła kryzę z czasów Elżbiety, na ramiona jakiś spencerek po prababce, w ręku trzyma różaniec i tak ustrojona, z wielkiém zadowoleniem przegląda się w zwierciedle. Malarz schwycił panienkę w tym kostjumie i schwycił ten ładny obrazek. Dziewczynka z anielską twarzą w bandyckim kapeluszu domaga się nie sakiewki, ale serca, i to wzrokiem tak zabójczym, że na kogo spojrzy, oddać je musi.

Daléj widziemy *Zaślubiny Matki Boskiéj*, Karola Vanloo, nad którym Diderot tak się unosi w swoim salonie. Sławny ten obraz jednak nie wszystkim podoba się tak mocno, jak jemu: jestto kompozycja niezwykła, ani słowa, twarz Marji wydawałaby się nawet bardzo piękną, gdyby Rafael nie malował Madon, ale przy jego utworach Vanloo znika, jak gwiazda przy słońcu.

O kilka kart daléj spotykamy *Une fête galante*, pędzla Watteau. Z płótna tego tryska życie. Antoni Watteau, słynny zarazem poeta, wielbiony przez wszystkich nowoczesnych krytyków, wybornym był malarzem czarownych ogrodów Armid ośmnastego wieku; jestto Boccaccio wykwintnego świata Wersalskiego, w którym rozkosze zmysłowe chodziły w parze z umysłowemi. Malarz przejęty tym duchem ustawia zwykle swe miłosne gruppy na tle pejsażu, lub pośród fresków i rzeźby, obok poety czytającego wiersze, lub muzyków wygrywających dźwięczne melodje. Obrazy tego artysty mało są znane na stałym lądzie: Anglicy wykupili prawie wszystkie jego dzieła.

Kopji z Van Dycka jest trzy: 1) Dzieci Karola I z dwoma psami, grającemi główną rolę na obrazie, jako prototypy sławnéj rassy King-Charlów, która przetrwała rassę Stuartów; 2) Sliczny portret królowéj francuzkiéj Henryetty, córki Henryka IV a żony Karola I, wymalowanéj z ręką na koronie, która miała tak fatalnie zaciężyć jéj mę-

żowi; 3) Portret Karola I, w którym Van Dyck zamknął jakby przeczucie smutnéj przyszłości swo jego opiekuna. Koń monarchy, jak rumaki Hipolita w Fedrze, zżyma się przestraszony widokiem hydry stugłowéj, co jeszcze z odmętów nie wypłynęła... Paź zwiesił głowę pod naciskiem smutnego przeczucia.. Król, z twarzą jasną, udatną, wygląda jak grecki Edyp przed objawieniem spełnionéj przepowiedni.

Daléj mile uderzają w oczy: Rafaela *Madona z książką*, rzecz arcyrzadka *Wieczór włoski* Richardsona; *Uczta wiejska* flamandzkiego Watteau; *Zwierzyna* wybornego malarza zwierząt Lendseera; *S. Cecylja* Domenichina, może najpiękniejszy z utworów tego mistrza. Swięta siedzi tuż nad księgą muzyczną, opartą na leżącym aniołku, a kompozycja ta daleko mi się więcéj podoba, niż tegoż Domenichina obraz téjże świętéj, znajdujący się w Luwrze, niegdyś ulubiony Ludwika XIV.

Oryginalny jest utwór Lepoitevina, przedstawiający *Pracownię Van der Velda*, malarza morskich widoków. Artysta ten pracował zawsze pod gołém niebem na brzegach morza, albo na okrętach, zkąd mógł lepiéj studjować burze i bitwy morskie. Raz na prośbę jego admirał Ruyter kazał bić z dział na morzu, żeby Van der Velde mógł sprawdzić, czy dobrze oddał efekt dymu, pełzającego po szmaragdowéj powierzchni oceanu. Tę właśnie scenę przedstawił Lepoitevin.

Sztych zdjęty z arcydzieła Correggia; *Magdalena pustyni*, dorównywa doskonałością najwyborniejszym stalorytom angielskim, a więcéj ma duszy i wdzięku. *Alchimista* Ostada, *Zamek Windsorski* Pyna, *Klaryssa Harlow* Landseera, *Pustelnik* Gerarda Dow, *Pastérz arkadyjski* Poussina, *Zaślubiny purytańskie* Johnstona, *Nimfa wodospadu* Maclisa, *Miłosierdzie* Van Dycka, wszystko to są rzeczy tak niepospolicie piękne, że po ich obejrzeniu cena książki jakkolwiek wynosząca 500 franków, nie wydaje się prawie wygórowaną.

Do wydań ozdobnych a pożytecznych liczę *Géografie pittoresque* Enaulta, napisaną stylem prostym a wdzięcznym, zawierającą przytém nauczające opisy i starannie wykonane illustracje krajobrazów najpiękniejszych lub najosobliwszych na kuli ziemskiéj. Cztery *albumy* Gavarni'ego, p. t. *D'aprés nature*, z textem Juliusza Janin, Goncoura i Texiego, są arcydziełami w swoim rodzaju i nie potrzebują ani pochwał, ani objaśnień.

Ponieważ jednak ciągła wesołość przejeść się może i słodycze nudzą w koncu, postarano się tu również o podarek, mogący *przyjemnie* zasmucić kogoś przesyconego wesołemi kolendami. Polegając na słowach psychologa, który powiedział, że jedną z wielkich przyjemności człowieka jest patrzéć na rozbitków z bezpiecznego lądu, po Eyries wydał drugi tom swojego prześlicznego dzieła p. n. *Histoire des naufrages*. Książka ta atoli nie dopina celu, bo zamiast zasmucać *przyjemnie*, przeraża. Czytelnik raz w nią zajrzawszy, nie może się oderwać od tych strasznych katastrof, obok których bledną wszystkie przygody lądowe; czyta i czyta, dopóki go sen nie zmorzy, a gdy zaśnie, śni o samych tylko morskich pożarach, pływających po rozhukanéj wodzie masztach i tonących łódkach, do których wylękła wyobraźnia z łóżkiem go przenosi... Człowiek spokojnego temperamentu wstawszy rano gotów rzucić w ogień ten dagereotyp nieszczęścia, co go przez całą noc dusił jak zmora; ale kto potrzebuje leniwą wyobraźnię chłostać, kogoż codzienna niedola ludzka twardego serca nie poruszy, ten w historji rozbitków będzie się rozkoszował, bo tam znajdzie nie urojone strachy romansów, ale prawdziwe wypadki, których samo opowiadanie dreszczem przejmuje.

Bądź co bądź, szczęśliwy ten Paryż, który albo śmiechami się bawi z Gavarnim, albo imaginacyjnych tak strasznych potrzebuje wzruszeń. Są Czytelniczki, które ni jednych, ni drugich na przyszłą kolendę nie wybiorą.

*

Paryż, d. 5 Grudnia.

Nowości Zagraniczne.

Le moniteur de la mode. Plusz jest jedną z ulubionych fantazji obecnéj chwili. Robi się bardzo wiele sukien pluszowych, a podług nas wcale ładnie wygląda; a pani Plé Horain wykonała już z téj tkaniny wszystkie wzory tych rozmaitych kaftaników, jakie pojawiły się w tym czasie. Kaftaniki te podbite materją lub atłasem ubierają się aksamitem. W tym samym magazynie widzieliśmy kapotki atłasowe z główką i karczkiem pluszowym. Jestto nowość, któréj wróżym wielkie powodzenie.

Chcąc bliżéj obznajomić się z futrami, zwiedziliśmy najznakomitsze składy, jakoto: przy ulicy St. Honoré Nr. 249 i tam to zasięgnęliśmy następujących wiadomości.

Obłożenia futrzanne, noszą się szerokie lub wązkie, stosownie do stanu temperatury. Okrycia grube watowane, przeznaczone na czas mroźny okłada się szeroko, węziéj zaś lżejsze płaszczyki

aksamitne lub sukienne. Najwięcéj używanemi futrami są ogonki kuny sobolowéj, lub kuny kanadyjskiéj, jak niemniéj szenszylla i gronostaje. Z futer drugiego rzędu noszą baranki astrachańskie czarne, lub popielate fryzowane, popielice i wizon kanadyjski.

Najwykwintniejsze z wzorów widzianych w tym składzie były: płaszczyk *Richelieu*, *grande duchesse*, płaszczyk mołdawski i zarzutka Ristory. Chcąc zużytkować przy obecnéj modzie aksamitne lub sukienne okrycia nieokładane można bez względu na jakibądź ich fason, kłaść na nie kołnierz Ristori lub pelerynkę futrzanną, co nawet po prostu na suknię używać się może. Do tego powinien bydź stosowny zarękawek (manszon) które w tym roku noszą się bardzo małe.

Dodamy jeszcze słówko o obuwiu, na które moda podniesionych sukien koniecznie baczniejszą uwagę zwrócić każe. W lecie, w czasie kąpieli morskich i podroży, ukazały się buciki w kształcie męzkich butów, co wydawało nam się nieco excentryczną modą, mimo to bardzo wytwornie ubierające się Panie, noszą jeszcze takie buty; my przecież wolałybyśmy widzieć do wycieczek pieszych zgrabne buciki z kozłowéj skóry z elastyką i obcaskami.

O NACZYNIACH BLASZANYCH.

W gospodarstwie domowém coraz więcéj wchodzą w użycie blaszane wyroby, a upowszechnienie ich po większéj części zależy od starannego wykończenia i przystępnéj ceny. Dla wiadomości naszych Czytelników podajemy umiarkowane ceny tego rodzaju przedmiotów, jakieśmy znaleźli w niedawno otworzonym składzie wyrobów blaszanych, na ulicy Senatorskiéj wprost kościoła księży Reformatów.

Formy na leguminy w różnych kształtach i różnéj wielkości: większe sprzedają się po 16 złp. a mniejsze, których znaczny jest dobór od 5 do 7 złp. Tak zwane z francuzka *manežki* do przynoszenia obiadów są większe i mniejsze: większe na trzy potrawy, zupę i leguminę kosztują 20 złp. mniejsze zaś 12. Maszynki do kawy przygotowującéj się na spirytusie, znaczny tam widzieliśmy zapas: Najtańsza z białéj blachy starannie odrobiona płaci się po 6 złp. większa daleko i z naczyniem na śmietankę kosztuje 20 złp. Z większych wyrobów są tu wanny cynkowe starannie zewnątrz i wewnątrz lakierowane w cenie od 60 do 50 złp. stosownie do wielkości; małe wanienki do moczenia nóg kosztują 16 złp, Nader elegancka blaszana skrzynka do węgli kamiennych, może wybornie jako mebelek stać w pokoju. Cena tego naczynia złp. 66 gr. 20. Daléj naczynia do mycia szklanek i filiżanek (od 12 do 16 złp.), koneweczki małe do umywalni, oraz zwyczajne kubełki (od 10 do 15 złp.). Naczynia nocne lub dla chorych podwójne z pokrywą szczelnie przystającą, starannie z blacby lakierowanéj odrobione kosztują od 20 do 40 złp. Z pomiędzy różnorodnych lamp w najwytworniejszym guście, notujemy tylko bardzo praktyczny kinkiet do kuchni lub przedpokoju jako mało potrzebujący oleju, a dużo światła dający (cena 12 złp.). Latarek na miasto mamy teraz tyle gatunków, tyle kształtów i z tak różnemi przyrządami, iż kupujący w prawdziwym jest kłopocie, któréj dać pierwszeństwo? Jak na teraz zdaje nam się, iż są najpraktyczniejsze latarki do oleju, ale większego rozmiaru, ze szkłem grubém czworograniastém, jako oszczędne, niełatwo gasnące, i czysto zawsze utrzymać się dające; płacą się one w sklepie. o którym mówimy po 8 złp.

O emaljowanych naczyniach kuchennych.

W Nr. 37 naszego pisma z roku 1861 podaliśmy czytelniczkom wiadomość o fabryce p. Berkopfa (Nowe Miasto, na przeciw kościoła P. Marji), którego emalja w naczyniach kuchennych odznacza się szczególną trwałością. Otóż obecnie, przy znacznym rozwoju fabryki p. Berkopf ułatwia w ten sposób nabycie swoich naczyń, iż gdy mu przyniesie kto naczynia żelazne, których polewa się wytarła, to natychmiast zamienia je na nowe téj saméj wielkości, za dopłatą, która się zwykle daje za pobielanie. Dopłata wynosi w stosunku do kwarty od 12 do 20 gr. co zależy od tego, jak naczynie jest zużyte. Naturalnie przepalone zupełnie i popękane na nowe wymieniając, trzeba więcéj dopłacić. Zawsze to jest wygodnie dla osób z prowincji przybyłych, iż nie potrzebują czekać na owo wybielenie swych starych naczyń, lecz zaraz za taką samą opłatą mają nowe zupełnie. Nadmienia się, iż im naczynie większe, tym opłata za pobielenie, albo raczéj jak tu ma miejsce, dopłata powinna być mniejsza, bo i powierzchnia jest mniejsza. Ceny wyrobów p. Berkopfa jakieśmy dawniéj podali, nieco się zniżyły, tak iż średnio można je oznaczyć na 25 gr. za naczynie kwartowe.

Opis ryciny.

N. 1. Suknia jedwabna, garnirowana u dołu ruszą jedwabną w zęby, i gipiurową koronką prawie na płask położoną. Stanik gładki obszyty ruszą i koronką, w kształcie pelerynki czworograniastéj. Pasek na wierzchu osobny złożony z dwóch bawetów i pięciu klapek z tyłu formujących karoczek, prócz tego spadają dwie bardzo szerokie szarfy garnirowane koronką i wstawką gipiurową. Kapelusz aksamitny z główka atłasową przepasaną w poprzecz skosami aksamitnemi.

N. 2. Suknia popelinowa z czterema falbankami fałdowanemi. Okrycie sukienne w szkocką kratę obszyte frendzlą sznelową. Kapelusz z rypsu jedwabnego.

N. 3. Ubranie chłopczyka 4-ro letniego. Spódniczka czarna rypsowa, albo sukienna z krótkim kaftaniczkiem przybrana aksamitem i guzikami stalowemi. Bluzka biała perkalowa. Pasek z omonierką skórzany. Buciki z długiemi cholewami na obcasach. Kapelusik kastorowy z piórkiem pawim. Buciki kozłowe wysokie sznurowane, zakończone kwastami.

DONIESIENIA.

KALENDARZ
DLA LUDU POLSKIEGO

Wydany staraniem Redakcji

GAZETY ROLNICZEJ

na rok przestępny

1864

wyszedł z druku i zawiera następujące artykuły:

1) Przedmowa Redakcji Gazety Rolniczéj; 2) Historja obrazu Matki Boskiéj Częstochowskiéj, Kościoła i Klasztoru Jasnogórskiego (z obrazkiem kolorowanym), przez Alojzego *Kuczyńskiego*; 3) Napaść Szwedów, i obrona Częstochowy (z wizerunkiem pomnika Kordeckiego), przez *Grzesia z Mogiły*; 4) Stworzenie Swiata (z obrazkiem), przez Ks. Walerjana *Serwatowskiego*; 5) Naród Polski przyjmuje wiarę Chrześcijańską (z obrazkiem); 6) Nauka Jezusa Chrystusa (z obrazkiem), przez Ks. Józefa *Osieckiego*; 7) Swięty Jan Kanty, urodzony Polak (z obrazkiem). przez Ks. Wojciecha *z Medyki*; 8) Mazur za wołami (z obrazkiem), przez Teofila *Lenartowicza*: 9) Uczcie się bracia rolnicy! przez X. S. G. (wierszem), 10) Rozum chłopski (z obrazkiem). przez Jana-Kantego *Turskiego*; 11) Pająćzek (z dwoma obrazkami), przez Adama *Matkowskiego*; 12) Pożar w Przemionkach, powiastka ludowa (z obrazkiem), przez Stanisława *Rzętkowskiego*; 13) Juda nie człowiek, rzecz prawdziwa, opowiedziana przez *Janka z Bielca* (z dwoma obrazkami); 14) O królu Sobku (z dwoma obrazkami), przez Juljusza *Starkla*; 15 Historja prawdziwa o Izydorze parobku, który został świętym patronem rolników (z obrazkiem), napisał Bruno *Bielawski*; 16) Mazury (z obrazkiem), przez Zygmunta *Gawareckiego*; 17) Jaszczółd stary ułan (z obrazkiem); 18) Poczciwe nauki; 19) Kilka bajek dla dzieci wiejskich (z 5-ma obrazkami), przez Ks. Biskupa Ignacego *Krasickiego*; 20) Waszemu zdrowiu na pożytek, przez Walerego *Wielogłowskiego*: 21) Pogadanka starego pszczolarza, (z trzema obrazkami), przez Adama *Mierzyńskiego*; 22) Gosposiom nauka jak mieć nabiał dobry; 23) Rady gospodarskie; 24) Zakończenie; 25) Część kościelna i astronomiczna; 26) Jarmarki krajowe.

Kalendarz ten z 12-stu arkuszy druku w 8-ce złożony z czterdziestu drzeworytami i chromolitografowanym obrazkiem Matki Bozkiéj Częstochowskiéj, na papierze białym, czysto i porządnie wydrukowany, kosztuje tylko **zlp. jeden** (kop. 15). W porównaniu z Kalendarzem tegorocznym, jest on wyposażony dwa razy większą liczbą drzeworytów i o dwa razy obszerniejszy.

Nadto Redakcja *Gazety Rolniczej*, przywodząc do skutku myśl swoją nie jednokrotnie wypowiedzianą, o potrzebie wydawnictwa dzieł dla stanów średnich, jak np. oficjalistów gospodarskich, drobnéj szlachty, rzemieślników po wsiach i miastach i t. p. stanów, wydaje zostający już w druku na rok 1864, ze stu przeszło rycinami.

KALENDARZ GOSPODARSKI

który wraz z opłatą stemplową, złp. 3 kosztować będzie, a o artykułach jakie mieści w sobie Kalendarz ten, później podaną zostanie wiadomość.

Skład Główny obu tych wydawnictw, urządzony został w Warszawie w księgarni Gustawa *Gebethnera* i Roberta *Wolffa*, przy Ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 415—i we Lwowie: na Galicję, Szląsk i Poznańskie w księgarni Karola *Wilda*; żądający przeto w większych ilościach egzemplarzy obu Kalendarzy, do tych dwóch księgarni zgłaszać się mogą.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 51 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 19 Grudnia 1863 roku.

JAN HALIFAX,

POWIEŚĆ M^{ss} MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

— Dziękuję panu, odrzekła, mój ojciec daleko zdrowszy. Jakże pan łaskaw, dodała spuszczając oczy w ziemię.

— O! co to, to prawda, przerwała pani Tod; przecież to pan sam jeździł po doktora.

— Doprawdy! ja sądziłam, że pan konia pożyczył.

— O! lubię bardzo przejażdżkę konną w nocy. Czy pani nie ma nic więcéj do rozkazania?

W słowach i postawie jego, panowała wyższa nad wiek powaga. Panna Marek żywą przejęta wdzięcznością, zapominając czczych formułek towarzyskich, podała mu rękę.

— Dziękuję panu rzekła, w razie potrzeby udam się niewątpliwie do pana.

— Dziękuję pani odrzekł, i wyszedł z kuchni. Panna Marek zbliżyla się do mnie, przemówiła parę słów życzliwych, jak zwykle, do słabego, który obudził litość w jéj duszy.

Poszedłem za Jankiem, nie pytał o nic, żadnéj nie czynił uwagi, wziął stoczek i udał się do swego pokoju.

W wiele lat potém przyznał mi, że ta chwila objawiła mu świat, dotychczas nieznany!

XII.

Nazajutrz potém Janek odjechał wcześniéj niż zwykle. Podczas śniadania zapytał poważnie panią Tod o zdrowie chorego.

Przepędziłem dzień w bukowym lasku, tuż za ogrodem, siadłem nad brzegiem strumienia, który wyschnął prawie do połowy od letnich skwarów, szemrał jednak płynąc po zwirze.

Gdym wracał do domu wieczorem, spostrzegłem na podwórzu pannę Marek, siedzącą obok ojca, chory po przebytym ataku czuł się lepiéj, zszedł więc, aby odetchnąć świéżém powietrzem.

Spostrzegłszy mnie panna Marek, szepnęła cóś ojcu do ucha. Obrócił na mnie wzrok przygasły i skinął głową nie poruszając się z fotelu. Był to w rzeczy saméj ten sam pan Marek, któregośmy spotkali przed kilku laty. Poznałem go, mimo że się bardzo odmienił, on mnie jednak nie poznał.

Córka postąpiła ku mnie parę kroków.

— Pan jak widzę daleko zdrowszy, rzekła, powietrze tutejsze wybornie oddziaływa, staram się przekonać o tém ojca mego. Pan Tletcher ojcze.

— To pan byłeś łaskaw, trudzić się w nocy po doktora, dziękuję mu stokrotnie.

Starałem się wyjaśnić rzecz dokładnie, panna Marek przyszła mi w pomoc, myślę jednak że nas chory nie zrozumiał.

— Ja bardzo cierpię, mój panie.... powiedz że panu co mi jest, rzekł do córki opiérając głowę na poduszce.

— Mój ojciec nie może przyjść do siebie po dziesięcioletnim pobycie w Indjach Zachodnich.

— Pobycie! przerwał z pewném niezadowoleniem. Zapominasz moja kochana, że byłem tam wielkorządcą.....

— O tak! pan wié, jak klimat Indyjski, odezwała się z pomięszaniem córka, szkodliwy; ale od powrotu swego, to jest od pięciu lat, ojciec mój przyszedł do siebie, i mam nadzieję, że wkrótce do dawnego wróci zdrowia.

Pan Marek skinął smutnie głową.

Ta dziwna jakaś sprzeczność, pomiędzy córką a ojcem, niezmiernie mnie zastanowiła.

— Pan Tletcher także słaby mój ojcze, rzekła tak słodko, że nie mogła zadraźnić bynajmniéj. Przyjąłem krzesło, które mi podała obok ojca, a potém rozmawiała ze mną po przyjacielsku, i z nieudaną prostotą.

Mówiliśmy o obojętnych rzeczach; o wyspie w Indjach Zachodnich, gdzie ojciec, piastował urząd wielkorządcy. Zapytałem ją, czy lubiła tę wyspę.

— O! ja jéj nigdy nie widziałam, odrzekła. Ojciec zostawił mnie w Walji.... w miejscu rodzinném matki mojéj. Czy pan zna Walją, panie Tletcher? Czy lubi pan góry? Co do mnie, nadzwyczaj je lubię.

I z niepojętym wdzkiękiem opowiadała mi wrażenia lat dziecinnych.

Odchodząc z ojcem opartym na jéj ramieniu, zwróciła się nagle i rzekła.

— Czybym panu nie mogła udzielić kilka książek z mojéj podróżnéj bibljoteczki? dnie wydają się panu zapewne długie i smutne, w nieobecności pańskiego przyjaciela?

Ofiarę tę przyjąłem z największą wdzięcznością, a w parę minut potém, przyniosła mi sama kilka dzieł do wyboru. Wszystkie były poważnéj treści.

— Nie mam wiele czasu na naukę, rzekła, ale cenię tych, którzy się lubią uczyć. Dobranoc, wszystkie nasze książki są na usługi pana i jego towarzysza.

Kiedy Janek powrócił do domu, opowiedziałem mu co zaszło. Słuchał nie czyniąc najmniejszéj uwagi, ale przez cały wieczór, siedział w milczeniu przerzucając stronnice książek.

Nazajutrz Janek zmieniony był do niepoznania. Zajęty od rana czytaniem, ani pamiętał o przechadzce. Około południa, wyciągnąłem go do lasku bukowego. Ztamtąd poszliśmy na łączkę ocienioną drzewami. Pod jedném z tych drzew, przygotowany był mały stolik, a na nim filiżanki do herbaty.

— Patrz, jak to prawdziwie po wiejsku, rzekł Janek; widać nowi goście przybyli do *Róże-Cottage*.

— Zdaję się, odrzekłem, ale gdyby téż panu Marek przyszła fantazja jeść śniadanie w tém miejscu?

— Co téż mówisz przerwał, on taki słaby.

— Nie mylę się, otóż i oni, rzekłem cicho. W rzeczy saméj pan Marek, oparty na ramieniu córki, zbliżali się wolnym krokiem.

— Nie podobna myśléć o ucieczce, szepnąłem do ucha Jankowi.

— Ja téż wcale o tém nie myślę, rzekłszy to, postąpił ku nadchodzącym. Młoda panienka spojrzała na niego z uśmiechem, i skłoniła głową. Pan Marek zatrzymał się w miejscu.

— Zapewne pan Halifax, rzekł.

— Janek ukłonił się z poszanowaniem.

Spojrzeli sobie oko w oko, jeden z nich wysoki, krzepki, drugi wątły, wybladły, stargany przedwcześnie chorobą.

— Winienem panu wiele wdzięczności, rzekł, przyglądając się Jankowi, tymże badawczym wzrokiem, który uderzył mnie przed pięciu laty, gdyśmy się po raz piérwszy spotkali

— Nie ma o czém mówić, rzekł Janek. Spodziewam się, że pańskie zdrowie znacznie dziś lepiéj.

Pan Marek skinął głową, poglądając z zajęciem na Janka.

— Moja córka mówiła mi, że panowie jesteście naszymi sąsiadami, miło mi to bardzo. Wiész co, rzekł zwracając się do niéj, gdyby twój brat Walter żył, byłby podobny do pana Halifax.

— Może panowie raczą podzielić nasz wiejski podwieczorek, dodał, siadając przy stoliku.

Nie podobna było odmówić. Zasiedliśmy wszyscy pod jabłonią. Promienie zachodzącego słońca, przedzierając się przez zielone konary, otaczały złotą aureolą głowę panny Marek, która nalewała herbatę w zgrabne porcelanowe filiżanki. Ubrana była w suknię białą muszlinową, u gorsu miała pęk róż dopiéro co zerwanych.

Powiedziała nam, że mały Jaś zerwał je pod naszém oknem i przyniósł jéj w darze; przepraszała za to; Janek oświadczył nieśmiało, że wszystkie nasze róże były na jéj rozkazy.

Siedział na przeciw niéj, ja zaś przy jéj boku; uważałem że lubo równie grzeczna dla każdego z nas, okazywała mi jednak szczególne względy. Janek rozmawiał poważnie z ojcem, ja z nią, mimo to, nie stracila ani słowa z ogólnéj rozmowy, Nie dziwię się temu, bo kiedy Janek mówił, było czego posłuchać, słowa jego proste i jasne, były wiernym obrazem duszy, mówił wtedy tylko, kiedy miał co powiedzieć; wyraziwszy myśl, umiał milczéć, co jest niemałą sztuką, zwłaszcza w dwódziestym roku życia.

Rozmawialiśmy szczególniéj o Walji, gdzie Janek był kilkakrotnie. Ta okoliczność ośmieliła pannę Marek; opowiadała nam różne przygody z dziecinnych lat, które ubiegły jéj w tym kraju pod macierzyńskiém okiem nauczycielki; matkę bowiem straciła w niemowlęctwie.

— Moje dziecko, rzekł kwaśno ojciec, lepiéj żebyś trochę zapomniała o pannie Cardigan, gdyż ona zapomniała o tobie, wszakże idzie zą mąż.

— Cicho! ojczulku to jeszcze sekret, odparła z przymileniem panienka. Czy pan znasz Norton-Bury, panie Halifax?

To zapytanie tak niespodziewane pomięszało Janka, odpowiedział wsposób twierdzący.

— Nie cierpię tego miasta, rzekł pan Marek. Krewni mojéj żony państwo Brithwood z Mythe-Hauze, z któremi różnię się w zdaniach politycznych, mieszkają tam; a do tego, raz o mało nie utonąłem w Sawernie.

— Nie mów o tém ojcze, błagała panna Marek. Janek zapłonił się i milczał. Ja także nie odzywałem się wcale.

— Co do mnie, dodała panienka, nie mam nic przeciwko Norton-Bury; lubiłam nawet to miejsce?

— Pani tam była?

Zapytanie to, jakkolwiek proste uderzyło mnie, głos Janka bowiem zmieniony był i drżący.

— Tak jest, odparła, miałam natenczas lat dwanaście; ale mówmy o czémś przyjemniejszém dla ojca. Jaki *prześliczny wieczór*. Czy pan słyszy, jak dzikie gołębie odzywają się w lasku bukowym.

Zapytałem ją, czy zna ten lasek?

Nie znała dotąd ani jego cienistych drożyn ani strumienia, płynącego po zwirze, którego szmer dobiegał nas z daleka.

— Nie wiedziałam, rzekła, że mamy strumień tak blisko; przechadzałam się zawsze po dolinie dodała z uśmiechem, i lica jéj spłonęły.

Nie odrzekliśmy słowa, po herbacie pan Marek rozparł się wygodnie w fotelu i nie mięszał do rozmowy. Ja także milczałem, słuchając Janka i panny Marek, coraz to bardziéj ożywionych, pod wpływem uroczego miejsca, i wiejskiej swobody.

Jeszczę byliśmy razem, kiedy słońce poczęło się nachylać do Zachodu.

Panna Marek wstała piérwsza.

— Radabym, rzekła, zobaczyć ten cudowny strumień. (Janek zaczął opowiadać o błogim wpływie, jaki wywierał na mnie, wśród długich dni samotnych).

— Czy pozwolisz mi ojcze pójść na chwilę, dodała, powrócę natychmiast. Chodź pan ze mną, panie Tletcher.

— A ja zostanę z panem Marek, rzekł Janek siadając na krześle.

Panna Marek szła obok mnie rozmawiając z prawdziwém współczuciem. Wszystkie kobiéty jakie spotkałem w życiu, okazywały mi zaufanie i sympatję, co po części nagradzało mi samotność, na którą Bóg mnie skazał.

Patrzyłem z przyjemnością na tę młodą osobę tak ożywioną i zajętą wszystkiém, co jéj wpadło pod oczy. Pytała mnie, czém się zajmuję cały dzień, czy mi tak nie smutno samemu.

— Mnie saméj smutno niekiedy, dodała, a raczéj byłoby mi smutno, gdybym miała czas o tém myśléć. Boleśnie to nie miéć brata, ani siostry!

— I ja ich nie mam, rzekłem.

— O! ale pan masz przyjaciela. Czy pan Halifax nie ma także rodzeńswa?

— Nie, on sam jeden na świecie.

— Tak! rzekła tkliwie, zrywając gałązkę kapryfolji. Panowie jak widzę bardzo do siebie przywiązani.

— Jan mi jest bratem, przyjacielem, ojcem, a nawet wszystkiém na świecie; odrzekłem na to z zapałem.

— Doprawdy? to musi być bardzo dobry; ale wygląda na to, dodała zamyślona. Powiadają, że podobno mężczyzni dobrzy, są bardzo rzadkiém zjawiskiem.

Nie miałam czasu odpowiedzieć na to ważne pytanie, gdyż Janek zbliżył się do nas boczną ścieszką.

— Przedarłem się, rzekł, przez gałęzie i krzaki, usłyszałem bowiem powtórzone moje imię, i z tego poznałem, że mój przyjaciel zabawia się obmową.

Słowa te wymówił wesoło, spostrzegłem jednak jakiś niespokój w jego oku.

— Nie powiem nic z tego cośmy z sobą mówili, rzekła panna Marek, to tajemnica między nami.

— Jakto? choćbym ją o to błagał i odwołał się do jéj dobroci?

— A więc odrzekła nieśmiało, pan Tletcher wyjawił mi trzy rzeczy, naprzód że pan nie masz ani brata, ani siostry; powtóre że jesteś najlepszym jego i jedynym przyjacielem; po trzecie.... i przy tych słowach troszkę się zawahała, ale wprędce dodała śmiało: po trzecie, że pan jesteś... dobrym...

— A pani cóż na to odpowiedziała?

— Że nie wiedziałam o piérwszym, że odgadłam drugie, co do trzeciego, żem o tém nigdy nie wątpiła.

Janek uśmiechnął się na te słowa, i idąc przy boku panny Marek, prowadził z nią ciągle rozmowę. Słuchałem ich z prawdziwą przyjemnością i poglądałem z czułością na tak miłą i zajmującą parę. Gaik do któregośmy podążali, jedyny w swym rodzaju. Mały był, bardzo mały, lecz niezmiernie uroczy, a promień słońca, wdzierał się przez gałęzie, buków i jodeł szkockich. Nie dostrzegłeś tam starych drzew przygarbionych ku ziemi, ani nagich pniów, porosłych mchem wiekowym, i na pół zjedzonych od robactwa. Wszystkie młode, krzepkie, pełne siły i życia, wznosiły się lekko ku niebu, jak kolumny podtrzymujące nawę olbrzymiéj katedry. Janek uczynił tę uwagę, panna Marek słuchała go z uśmiechem. Nie widziałem go nigdy w towarzystwie kobiét; słuchałem też zdziwiony poetycznych jego wyrażeń. Zapomniałem téj znanéj prawdy, że jest chwila, w któréj każdy człowiek zostaje mimowiedzy poetą.

Zatrzymaliśmy się przy strumieniu. Janek tłumaczył pannie Marek, że ten strumień wypływał ze źródła, w którym pojono krowy, że przepłynąwszy lasek, staczał się bystrym prądem w głąb doliny.

— Z małych przyczyn następują nieraz wielkie skutki, odrzekła poważnie.

Janek uśmiechnął się, zaczerpnął dłonią wody i pił, ona uczyniła toż samo, potém zerwała wielki liść, zwinęła go w trąbkę, napełniła go wodą i podając zawołała wesoło.

— Jestem Rebeka u fontanny, pij Eljezer! Janek spojrzał na nią i po prótkiém wahaniu, rzekł nieśmiało półgłosem:

— I jam także spragniony. Gdybym mógł prosić....

Panna Marek podała mu zaimprowizowaną czarkę. Potém umilkli oboje, słuchając poszmeru strumienia!

Gdyśmy powrócili, pan Marek nadzwyczaj był grzeczny.

— Towarzystwo panów, rzekł, zawsze mi będzie miłe, równie jak córce mojéj.

— Zawsze tylko moja córka, szepnąłem do ucha Jankowi, gdyśmy odeszli kilka kroków, chciałbym koniecznie wiedzieć jak jéj imię.

— Zdaje mi się że Urszula.

— A zkądże to wiész?

— Wyczytałem to imię na jednej z książek.

— Urszula, powtórzyłem, jakie to ładne imię?

— Bardzo ładne w istocie.

Ilekroć Janek potwierdzaniem słów moich stawał się, jakby mojém echem, wiedziałem że lepiéj zamilknąć.

Nazajutrz zaczął padać deszcz ulewny. Jesień zbliżała się widocznie szybkim krokiem i przez kilka dni trwała nieznośna słota. Niebo tak było ciemne, jak popielata sukienka panny Marek; trzeciego dnia jednak wieczorem bladoróżowa mgła poczęła się unosić nad wierzchołkiem góry, wróżąc zmianę powietrza.

Janek jeździł co dzień do Norton-Bury; zdawał się niespokojny i pomięszany, dla mnie jednak pełen był najtroskliwszych względów. Późno w noc wychodził na przechadzkę; słyszałem go jak otwierał drzwi, i stąpał ostróżnie pod oknem. Pragnąłem nie raz towarzyszyć mu, lecz nie śmiałem przerywać samotnych jego dumań.

W sobotę rano, właśnie gdym wychodził z mego sypialnego pokoju, słyszałem jak pytał panią Tod o zdrowie chorego. Wiedzieliśmy, że cierpiał, i że od tygodnia nie sptokaliśmy go ani razu.

Pani Tod smutnie skinęła głową.

— On bardzo chory rzekła, gorzéj niż kiedykolwiek. Biedaczka czuwa nad nim po całych nocach.

— Pewny byłem tego. Widziałem światło w jéj oknie.

— Na Boga panie Halifax, przecież pan nie chodzisz nocą na góry. To szkodzi zdrowiu, zawołała kobiéta z współczuciem.

— Dziękuję pani, za troskliwość, odrzekł Janek, ale powiédz mi pani czybyśmy nie mogli być w czém użyteczni choremu?

— Myślę, że mu już nic nie pomoże.

— Gdyby był słabszy w ciągu dnia, daj mi pani znać, a pojadę po doktora Brown. Zostaję cały dzień w domu.

— Powiém o tém pannie Marek; jakże pan dobry, rzekla odchodząc.

— Myślałem że jedziesz dziś do Norton-Bury zapytałem.

— Miałem w istocie jechać, ale nic tak bardzo nie nagli. Byłeś sam przez tyle dni... zresztą nie chcę kłamać, inny mam powód.

Czy można zapytać o niego?

— Czemuż nie, doktór Brown, którego spotkałem dziś rano, mówił mi, że chory nie pociągnie dłużéj nad kilka dni... a może kilka godzin. Ona się tego nie domyślała!

Mówiąc to oparł się o komin. Głęboko był wzruszony; i mnie przeraziły mocno jego słowa.

— Potrzebaby uwiadomić jéj rodzinę.

— Ona jéj nie ma, sama to mówiła doktorowi.

Najbliżsi jéj krewni są państwo Brithwood z Mythe-Hause; a wiemy dobrze, co to za ludzie.

— Prawda, lekkomyślni, dumni, a bez serca.

— Uspokój się Fineas, rzekł Janek, wreszcie oni nam obcy, zupełnie obcy. Chodźmy na śniadanie.

Ale Janek nie mógł jeść, zajęty ważną myślą.

— Wiész co? rzekł do mnie, to źle, bardzo źle ze strony doktora, że ukrywa prawdę przed chorym, a szczególniéj przed temi co go otaczają. Trzebaby ją uprzedzić; możeby miała co do pomówienia z ojcem. Lepiéj ją przygotować do nieszczęścia, inaczéj może sama paść ofiarą.

Wstał z krzesła, i chodził żywo po pokoju zatrzymał się nareszcie.

— Widzę mój drogi, rzekł, iż również jak ja cierpisz nad jéj położeniem. Cóż mamy czynić? Zapomnijmy, żeśmy dla niéj obcy, a działajmy jak Chrześcijanie. Czy nie należałoby jéj uprzedzić?

— Zapewne. Możeby przywołać innych doktorów.

(d. c. n.)

Leroy Imp. r. des Marais, 66

Anaïs Toudouze

TYGODNIK MÓD

